



*st. ułan Borowski z siostrzyczką Hanią (rok 1928)*

### **Adam Marcin Borowski**

porucznik rezerwy 3. pułku Ułanów Śląskich

S.P.R.K. – Grudziądz, kurs 1928/29

Tegoroczna [1986] sroga zima wywołała falę wspomnień. Człowiek z niechęcią myślał o konieczności wychylenia się z domowych pieleszy. A przecież w styczniu, lutym i aż do połowy chyba marca 1929 roku słupek rtęci spadał jeszcze niżej, osiągając -40 stopni! Najprzykrzejsze były wyjazdy na plac ćwiczeń w grupie, gdy należało w stępie przebyć most na Wiśle, wiatr skowyczał w stalowych kratownicach, powolne tempo pochodu nie rozgrzewało – most dłużył się w nieskończoność. A potem komenda "szwadron śpiewa!". Chciało się nam śpiewać – jak psu wyć! Mimo wszystko i zdrowie dopisywało, i fantazja. No, ale jak się miało o te drobne 58 lat mniej... Dopiero po kilku tygodniach wydano rozkaz, że jeśli o siódmej rano temperatura wynosi poniżej 30 stopni – zająć połowych nie ma, tylko jazda na krytej ujeżdżalni.

A wszystko zaczęło się w trzeciej dekadzie upalnego lipca.

Zjechało nas, przyszłych "ułanów z cenzusem", do Grudziądza około sześciuset. W 1928 roku, odmiennie niż w latach poprzednich, kierowano nas wprost z ówczesnych P.K.U. (Powiatowych Komend Uzupelnień), a nie z poszczególnych pułków. Powstało zamieszanie, bo etat szkoły przewidywał cztery plutony po trzydziestu elewów oraz dodatkowo pluton weterynarzy. Wyluskano z tłumu kilkunastu lekarzy weterynarii i drugie tyle studentów weterynarii, ale i tak zostało po 4-5 kandydatów na każdy etat "liniowy". Zorganizowano wówczas próby sprawnościowe: biegi, skoki, rzut granatem, wspinanie się po linie i na zakończenie próbną jazdę konną. Dwudziestkami wyjeżdżaliśmy na koszarowy dziedziniec, gdzie pod kantyną przy stoliku zasiadła "wysoka komisja". Przygniatająca większość kolegów przybyła w długich cywilnych spodniach, wielu nie wiedziało, jak sobie dopasować długość strzemion – wygląd opłakany. Wyróżnił się Tomek Zamoyski – w plastronie na szyi i butach (chyba od Hiszpańskiego). Jeszcze w stępie jakoś

wszyscy się trzymali, gorzej w kłusie, zaś gdy konie na komendę posłusznie zagalopowały – niejeden znalazł się na ziemi. Z tych co pozostali w siodle wzywano niektórych, by podjechali przed stolik komisji i podali swe imię i nazwisko. Z jednych dwudziestek więcej, z innych mniej. Następnie 120 wybrańców ustawiono w dwuszerę według wzrostu i podzielono na cztery plutony. Pamiętam, że Munio Moszyński, mający kilku bliskich przyjaciół dobrego wzrostu, a sam niski, stanął wśród nich dosztukowując się przyniesionymi cegłami. Mimo, że stanął w drugim szeregu, oszustwo wydało się i trafił do czwartego plutonu. Nadliczbowych – ponad cztery setki – odesłano do szkół podchorążych piechoty: Jarocina, Śremu czy Ostrowi. I tu powstała awantura: wśród odesłanych było sporo ochotników, którym przysługiwał wybór rodzaju broni. Między nimi znalazł się i Stefan Czetwertyński, syn Seweryna – senatora; nastąpiła interpelacja do ministra spraw wojskowych. Zwiększono etat kursu o dodatkowe 30 miejsc, po paru tygodniach wróciło z piechoty 30 ochotników i uformowano VI pluton, gdzie ułani z cenzusem mierzyli sobie od 2 metrów z górą do 160 centymetrów. Po kilku tygodniach intensywnej "szkoły" pod okiem rtm. Kotarskiego i wachmistrza (chyba) Łopaty – poza zróżnicowanym wzrostem nie odbijali od pozostałych plutonów.

Na samym wstępie dowódca szwadronu szkolnego rtm. Marszewski (z nieodstępną angielską fajką) zapowiedział, że wśród jego podkomendnych ułanów z cenzusem nie ma żadnych "panów" i że od tej pory winni być między sobą "na ty". To znacznie przyspieszyło wzajemne zbliżenie i zżycie się uczestników kursu. Cyrk był z pobieraniem sort mundurowych, wydawanych jak leci; trzeba było to wymieniać między sobą i jakoś dopasowywać. Ja miałem kłopot z butami, bowiem natura obdarzyła mnie wydatnymi łydami i musiałem pobrać buty chyba o trzy numery za duże, aby cholewy były dostatecznie szerokie. Okazało się to błogosławieństwem w zimie, gdy swobodnie mogłem zawijać stopy w onuce flanelowe i zwykłe, a między jedne i drugie wkładać jeszcze gazety.

Nastąpił przydział koni. Mnie przydzielono Kunę z czerwoną wstążeczką w grzywie i ogonie, ale przekupiłem ją cukrem i chlebem z solą i współzycie układało się nam zgodnie. Jeździłem na niej ze sześć tygodni, bo następnie wystąpił do mnie z prośbą kolega jeżdżący na Flisaku (z trakeńskim paleniem na udzie), by się z nim zamienić, bo mu koń nie chce występować z szeregu. Miałem zaufanie do swych łydek, a Kuna właśnie mnie irytowała, bo się grzała i gdy ścisnąłem ją, by wydusić szerszy stęp albo np. przy najeżdżaniu na przeszkodę – podnosiła ogon i obficie moczyła, co narażało mnie na pretensje lub żarty kolegów. Wyraziłem przeto zgodę i za aprobatą dowódcy plutonu (wówczas rtm. Świdorskiego z 15 Pułku Ułanów), dokonaliśmy zamiany. Flisak starszy był ode mnie o parę miesięcy, żyliśmy w znakomitej komitywie – a przy tym pocił się bardzo skąpo, co skracało wydatnie rozcieranie go wiechciami po powrocie z maneżu czy służby polowej. W konkursie plutonowym zająłem na nim III miejsce, w szwadronowym, na zakończenie kursu, niestety nie mogłem wziąć udziału, bo mi to uniemożliwił złośliwy czyrak ulokowany w części ciała najniezbędniejszej jeźdźcowi. Nie darmo śpiewano: "kto siedzenie ma z mosiądza niechaj idzie do Grudziądza". Konkurs wygrał śp. Staszek Dyakowski z II plutonu na Grandusie, a więc o rok zaledwie młodszym od mego Flisaka, gniadoszu ze skarpetkami na wszystkich nogach. Jako nagrodę zdobył kompletne siodło wraz z ogłowiem. Fundusz na te nagrody powstał stąd, że na ten cel zrzekliśmy się "relutonu" za urlop bożonarodzeniowy (11 dni) a wielkanocny (7 dni). Zebrała się spora kwota, a nagrody były liczne i piękne.

Szybkie i pełne zadomowienie się na grzbiecie końskim ułatwiły nam ćwiczenia w woltyżerce. Z rozczuleniem wspominam dotychczas pocziwego naszego Łososa obdarzonego szczególnie równym, płynnym galopem. Pod okiem wachmistrza Dzierzy (zastępcy dowódcy plutonu w okresie rekruckim, który przeszedł później na toż samo stanowisko do I plutonu, a do nas przyszedł wachmistrz Wyszomirski, kawaler V.M.) robiliśmy w woltyżerce bardzo dobre postępy, co owocowało niezbędną swobodą ruchów przy ćwiczeniach we władaniu białą bronią. W tej dziedzinie mistrzem był plutonowy Juchniewicz, zastępca dowódcy III plutonu, który trafił do Bobrujska podobno z któregoś z pułków kozaków dońskich. Twierdził on, że nic końskiego nie może budzić obrzydzenia, od podkomendnych wymagał, by w lewej kieszeni spodni ćwiczebnych nosili codziennie świeże "jabłko końskie", a szczególnie skrupulatnie sprawdzał dokładność czyszczenia

okolic, które koń zwykle ogonem przykrywa. W stajni III plutonu było więcej niż w innych stajniach klaczy i stąd powstała przyśpiewka "ósemeczki czyścić leci – to szwadronu pluton trzeci!"

Dowódca szwadronu luzaków por. Pałka przyjeżdżał do koszar na rowerze, zwykle z oswojoną kawką na ramieniu. Ta często ślady swej obecności pozostawiała na mundurze swego właściciela, co wywoływało naszą wesołość. Por. Pałka, za zezwoleniem dowódcy, hodował sobie świnię na odpadkach szwadronowej kuchni. Pod koniec sierpnia na koszarowym dziedzińcu odbywało się strzelanie "konusami", a wówczas właśnie świntuchy por. Pałki wyrwały się na swobodę defilując wzdłuż szeregu celów. Bubiś (Andrzej) Tarnowski odezwał się do leżącego obok Zyzia Bukraby: "ciekawe, czy takim konusem ułożyłoby się zwierza?", a na to Zyzio – "no to bierz pierwszego, a ja trzeciego!". Dwa wieprzaki zrolowały w ogniu ku ogólnemu zdziwieniu i wesołości. Obaj tryumfatorzy dostali po pięć dni lekkiego i musieli swe trofea nabyć od właściciela, zaś cały szwadron szkolny gwoli zapamiętania, iż w czasie ćwiczeń nie należy przeprowadzać nieregulaminowych eksperymentów, w dniu następnym miał na obiad duszoną rąbankę ze słoniną łącznie. Szczęśliwie Stefan Pietruski, "kasynowy" naszego plutonu, zadbał przytomnie o to, by na naszych stołach znalazła się musztarda i chrzan, zaś w karafkach miast wody – wyborowa i dzięki temu przełknęliśmy obiad bez złych następstw.

W okresie rekruckim strzyżono nas co tydzień maszynką na zero. Furażerki na takich łysych pałach nie chciały się początkowo trzymać, zwłaszcza, że należało je nosić zsunięte z fasonem na prawe ucho i oko. Gdy komuś furażerka spadła z głowy – winien był postawić pół litra kolegom. Początkowo zdarzało się to dość często, ale wkrótce wyszło to źródło, bo furażerki jakoś przyzwyczajono się trzymać na właściwym miejscu "sposobem głowy". Zabawnie wyglądało zbiorowisko naszych łysych czaszek np. w jadalni lub w sali wykładowej, bo miejsca spod furażerek były blade i odcinały się od spalonej reszty głowy i twarzy.

Na zajęciach pieszych występowaliśmy wyposażeni regulaminowo, a więc m.in. w ostrogach, które na zajęcia konne musieliśmy zdejmować. Dopiero po dobrych kilku tygodniach nasz instruktor jazdy rtm. Romaszkan wezwał na ujeżdżalnię do siebie nas, pierwszych pięciu, którym uroczystie przyznał prawo noszenia ostróg; czuliśmy się dumni, wyróżnieni w ten sposób – nieomal pasowani na rycerzy. W tydzień później następnym dziesięciu kolegów uzyskało to uprawnienie, reszta plutonu pod koniec okresu rekruckiego. Stopniowo stawaliśmy się nie tylko żołnierzami, ale jednocześnie kawalerzystami.

Tak zwany "cuk" ostro i epidemicznie panujący w S.P.K. – u nas w S.P.R.K. przebiegał w formie łagodniejszej, ale za niewiedzę w zakresie np. żurawiejek czy rozlokowania poszczególnych pułków kawalerii lub barw pułkowych można było czasem zarobić porcję "żabek", przysiadów lub skok na piec. Nie obyło się również bez rytualnego pogrzebu słomki znalezionej wśród nocy przez oficera inspekcyjnego pod łóżkiem któregoś z kolegów. Cały szwadron poderwany alarmem asystował w kondukcji, który otwierało ośmiu kolegów niosących na naprężonym kocu ową słomkę znaną w ich izbie. Uroczystie udaliśmy się na "Saharę" – piaszczysty plac ćwiczeń przylegający do koszar i tam, w głębokim grobie na ten cel wykopanym, pochowaliśmy wśród stosownych śpiewów inkryminowaną słomkę, po czym nastąpił powrót w szyku zwartym do koszar. Podobnymi metodami nauczono nas układania w kostkę dziennego przyodziewku na stołkach przed łóżkami, ścielenia łóżek w kant i innych tego typu umiejętności. Rzecz szczególna, ale te pozaregulaminowe metody wychowania nie tylko były przyjmowane z humorem, lecz wyrabiały poczucie odrębności naszego rodzaju broni i jakgdyby zobowiązywały do większej spójności oraz zachowywania fasonu w dążeniu do tego, by zasłużyć na miano "pistoleta".

Jesień była ciepła i na ogół słoneczna. W październiku uroczysta przysięga zakończyła okres rekrucki. Uzyskaliśmy pierwsze przepustki do miasta. Przed wyjściem z koszar każdy z nas musiał się poddać oględzinom wachmistrza – szefa, który sprawdzał prawidłowość ułożenia każdej fałdki płaszcza i czystość każdej sprzążki. Płaszcz długi "po ostrogę", szabla na żabce z prawidłowo zawiązanym temblakiem – i w mieście, tak na ulicy jak i ewentualnie w lokalu głowa jak "na śrubkach" – by nie podpaść i nie zarobić na "cuk". Wachmistrz – szef Kazimierz Jena, znakomity podoficer, stylistą równie znakomitym nie był i niejednokrotnie dostarczał nam powodów

do wesołości – wstawił się szczególnie sformułowaniem punktu w sobotnim rozkazie, gdzie postanawiał, że "szwadron szkolny stanie w rozwiniętych przed kościołem za kościołem, zaś ale po kościele przed kościołem".

Kolejnym przeżyciem był bieg myśliwski, plutonami, zorganizowany w lesie nad Rudnickim jeziorem – z przeszkodami stałymi. Następne wtajemniczenie stanowiły zjazdy ze stromej skarpy ku Wiśle, gdy początkowo miało się przeświadczenie, że nic nie uchroni jeźdźca przed zrolowaniem wraz z koniem w dół i kiedy po pokonaniu zbocza trudno było uwierzyć spojrzawszy w górę – że jednak się jakoś udało; później był to już chleb powszedni.